

Muśliwy



Czysto polskie i chrześcijańskie przedsiębiorstwo!

TEL. 12-98

TEL. 12-98

BROŃ I AMUNICJA

wszelkie naprawy, montaż lunet, nowe lufy itp.

S. WINIECKI

właśc.: M. Winiecki

Poznań, ul. 27 Grudnia 2, w oficynie

Przedstawiciel i b. pracownik firmy

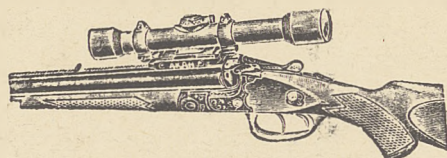
B. Merkel — Suhl

JANKOWSKI FABRYKA SUKNA - BIELSKO

Oddział Poznań, ul. 27-go Grudnia 2

poleca

znane ze swej jakości
szewioty na ubrania dla
myśliwych i sportowców



Wszelkie naprawy broni myśliwskiej — **Zakładanie nowych luf.** Specjalność: **montaż lunet.**

KONCESJONOWANE

WARSZTATY PUSZKARSKIE — POZNAŃ

JÓZEF SZYMKOWIAK

św. Marcin 27

Były długoletni puszkarz Warszawskiej Spółki Myśliwskiej w Poznaniu Telefon 25-f3

Rzetelna obsługa!

Fachowe wykonanie!

Odstrzał Rogaczy

Cena 35,— zł za sztukę sprzedaje

Dyrekcja Lasów Państwowych w Toruniu

Ul. Mickiewicza 9

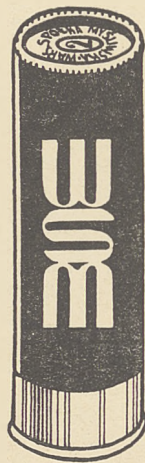
Wyżły niemieckie. Cena: 150,—, 200,— i 400,— zł.

Jamniki szczenięta Szorstkie 50 zł, krótkowłose 40 zł. (rodowód) sprzedaje **Leś Jutrowski Komorze, Osiek p. Starogard.**

WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA

Oddział w Poznaniu

ul. Br. Pierackiego nr 12



Zawiadamia PP. Myśliwych, że okres polowań na rogacze się zbliża — a zatem czas pomyśleć o broni kulowej, w którą można zaopatrzyć się w naszych magazynach.

Precyzyjne warsztaty rusznikarskie nagrodzone złotym medalem!

Specjalność:

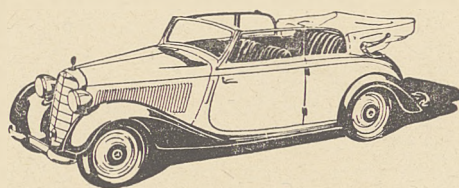
Precyzyjne montowanie lunet, dorabianie nowych luf sztucerowych, oraz dokładne wstrzeliwanie sztucerów.

Cenniki na żądanie!

Ceny konkurencyjne!

Firma chrześcijańska

Samochody Mercedes-Benz



Mercedes-Benz Typ 170 (1,7 ltr. 4 cyl.) Kabriolet

poleca

BRZESKIAUTO S. A.

Poznań

MYSŁIWI

MIESIĘCZNIK

ROK III

POZNAŃ, CZERWIEC 1939

NR 6

MATKI

Ciągła tułaczka. Ciągła tęsknota połączona z niesamowitym śmiechem wyszydającym miłość. Oto życie kukulki. Bez gniazda własnego, bez troski o spragnioną pokarmu dziatwę — błąka się szara kukulka po borach i gajach. Sprytna, przebiegła, wyszukuje gniazda drobnych ptaków śpiewających, aby obdarzyć je żarłocznym podrzutkiem. Zwabiona tęsknym kukaniem przygodnego kochanka wędruje ona z jednego ostępu do drugiego i uważnie obserwuje życie lasu, podpatruje najdrobniejsze szczegóły codziennego bytowania jego mieszkańców — takie szczegóły, jakich nawet czujny strażnik — sójka nie zauważy!

Cisza otula odurzony skwarem las — cisza wczesnego lata — ciężarna słodkim brzemieniem nieposkromionej płodności. Ziemia obchodzi Święto Matki — święci najbardziej uroczystą, najwznioślejszą chwilę — chwilę twórczej nieśmiertelności. Życie zwycięża śmierć. Tysiące nowych istnień poczętych w uniesieniu rykowiska, tryumfalnym finale sarniej gonitwy, w mistycznym natchnieniu toków, zrodzonych z cichego tkliwego poematu ciągów — zakwitają na macierzyńskim łonie karmicielki ziemi.

W gąszczu tajemniczym odbywają się wielkie misteria. Poważne, rozumiejące doniosłość chwili łanie jeleni i danieli wydały tam na świat bezbronne, ledwie trzymające się na cienkich długich nóżkach cielęta. Duże zażawione oczy troskliwych matek błagalnie patrzą dookoła, o jedno tylko prosząc, o spokój, o danie im możności spokojnie wychować, przygotować do ciężkiego, obfitującego w niespodzianki i niebezpieczeństwa życia te młodociane istotki, co tak potulnie i ufnie cisną się do matczynego boku, do udzielających im życiodajnego pokarmu nabrzmiałych od mleka grzędów...

Leci szara kukulka trosk macierzyństwa nieznaną, leci dalej z nieutuloną tęsknotą w sercu i widzi inny obrazek — szczęście rodzinne skromnej głuszycy. Z cichym kwoktaniem przechadza się ona, dumna ze swojej dziatwy, po małej polance i skrętnie wyszukuje pokarm godny żołądków potomstwa królewskiego pieśniarza. Tu znajdzie tłustą gąsienicę, tam rozgrzebie pełne kwaskowatych poczwerek mrowisko i woła od razu pisklęta, aby się uraczyły wyśmienitym smakołykiem. Dla urozmaicenia mięsnych dań — wyszukuje delikatne roślinki i pierwsze jagódki. Czasem każe im polk-

nać kilka ziarenek grubego piasku dla zapewnienia prawidłowego trawienia.

Młode głuszce wyglądają coraz okazalej — po mału się już wypierzają. W razie potrzeby potrafią przefrunąć nawet na sporą odległość! A tak niedawno jeszcze były to drobne pocieszne, toczące się między ździebelkami trawy kuleczki, którym byle gałązka wydawała się olbrzymią kłodą — a suchy liść był dostateczną osłoną. Teraz młode głuszce miały już na tyle pewności siebie, że nawet pod matczyne skrzydła garnęły się nie tak skwapliwie jak dawniej. Patrzy pstrokata głuszycy na podrastającą młodzież i kwokcze cichutko. Słysząc w jej głosie usilną prośbę, błagalną prośbę o spokój, o niezakłócenie tej błogiej ciszy, co otula cały las, który stał się teraz jedną wielką wspólną kolebką nowego życia.

Nagle rozległo się rozpaczliwe piszczenie, wydobywające się z pogmatwanej gęstwiny krzewów. Czyż to dziecko płacze tak żałośnie? Natychmiast na brzegu polanki zamajaczyła zgrabna rudopłowa sylwetka leśnej boginki — sarny. Trwożliwie strzygąc łyżkami i lekko stawiając sprężyste biegi zbliżyła się ona do rozłożystego krzaku leszczyny, skąd na głos kochającej matki wygramoliło się malutkie kozłę, przyodziane w rudą białymi centkami ozdobioną sukienkę. Maleńki koziołek nie wiadomo czym przerażony, przytulił się do boku matki i zaczął się zwierzać jej ze swych dziecinnych snów i trosk.

Koza niespokojnie strzygła łyżkami, łyskała wielkimi zażawionymi świecami i wciągała żywiczne powietrze rozdętymi chrapami. Niespokojnie biło jej serce. Kilka dni temu straciła ona ukochaną córeczkę. Spokojnie żerując na pobliskiej łące — nawet nie przypuszczała, iż do zacisznego rewiru zakradł się bezczelny bandyta — bezpański pies, zgłodniały, nienawidzący wszystko co żyje, rusza się i tętni ciepłą smakowitą krwią. Przebiegły czworonożny kłusownik zwęszył kozłęta ukryte w gąszczu, podkradł się zdradziecko i chwycił pierwszą z brzegu ofiarę. Nieszczęśliwe kozłatko ledwie pisnąć zdążyło zduszone w paszczy krwiożerczego napastnika. Szybszy w nogach braciszek zdołał w porę odskoczyć i ukrył się drząc ze strachu w gościnnym cieniu gęstych jałowców. Pouczony nieomylnym głosem instynktu, nawet nie zapłakał, nie zapiszczał i to właśnie go uratowało przed nieuniknioną zdrałoby się zgubą. Zaszył się cichutko i leżał spo-

kojnie czekając na swój los. Gdy matka wróciła, znalazła tylko nikłe szczątki jednego dziecka, a drugie drżące, bojące się odezwać, z trudem wielkim udało się jej pocieszyć. Teraz całą miłość macierzyńską przepełniającą jej serduszko przelała na uratowanego szczęśliwym zrzędzeniem losu jednynaka. Śpi spokojnie małe sarniátko w upalne południe. Śpi beztrudnie przyszy kapitałny rogacz — pogromca rywali i zdobywca serc potulnych, zgrabnych leśnych boginek...

Szybko przeleciała rozpustnica kukułka koło wysokiej sosny dumnie i groźnie wznoszącej swą koronę, górującą nad innymi drzewami — niby zamek warowny nad domkami przyległych włości. Naprawdę była ta sosna zamkiem warownym — na swoich konarach dźwigała gniazdo sokole. Gniazdo to wybudowała w rzeczywistości para gołębiarzy, lecz dumni rycerze, gardząc trudem codziennym i mozolną pracą pospólstwa, zmusili mniej odważnych krewniaków do ustąpienia swego domostwa i osiedlili się w gotowym zamku. Para wędrowców wracała tu co roku i wychowywała nowe pokolenie powietrznych korsarzy, szerząc popłoch i grozę w całej okolicy. Wieczne niebezpieczeństwo czyhało z niebios na skromne trwożliwe kuropatwy. Barwne bażanty i ich niezaradna dziatwa padały najczęściej ofiarą groźnych władców warownego zamku. Zgiełkliwe, wścibskie, nieuznające żadnych autorytetów wrony i czupurne sójki też czuły respekt dla sokołów.



Fot. J. A. Wysocki

Rogacz

Teraz troskliwi rodzice mieli najwięcej kłopotów — nadeszła pora układania dziatwy do samodzielnych łowów. Dopóki były małe sokoly puchowymi pisklętami i spokojnie siedziały w gnieździe — to jedynie o dostarczanie dostatecznej ilości pokarmu należało się troszczyć, a dziś trzeba uważać, aby zuchwałe dzieciaki zbyt ufające we własne —

jeszcze słabe — skrzydła, nie zafrunęły za daleko i nie padły ofiarą wiecznego wroga, człowieka lub czarnego motłochu — wron, śmiałych wojaków, o ile natrafiały na nieumiejącego się obronić przeciętnika. Miały także sokoly wiele chwil radości — kiedy wzbierała w ich sercach najpiękniejsza ze wszystkich uczuć, duma rodzicielska. Jakże przyjemnie było zobaczyć, jak młody rycerzyk, naśladowując mistrzowskie natarcia rodziców, bił po raz pierwszy wronę w locie, albo chwycił porywającą się z miedzy zdeorientowaną kuropatwę. Chytra kukułka przebiegle omijała sąsiedztwo sokolego zamku i nadal bezkarnie zwiedzała pobliskie gaje i bory, puszczając leśną ciszę bezwstydnym chichotem.

Razu pewnego lecąc brzegiem pola uprawnego zauważyła jakieś niezwykle zamieszanie wśród kuropatwiego rodu. Jaka mogła być tej trwoży przyczyna? Pewnie jakiś niepożądany przybysz się zjawił — pomyślała domyślna kukułka. Przypuszczenie jej okazało się słusznym. Przywędrowała tu z lasu liszka z czwórką młodych. Za ciasno się zrobiło w norze, za często koło niej ludzie się kręcili, postanowiła więc małżonka mikity przenieść się na letnie mieszkanie. Młode na tyle już podrosły, że trzeba było im udzielać przeróżnych lekcji poglądowych, a cóż może być lepszego w tym wypadku od tłustej myszy polnej, zajączka lub nieco trudniejszych do chwytania młodych kuropatw? Do nory można zajrzeć od czasu do czasu — przespać się wygodnie, o ile nie grozi niebezpieczeństwo, a potem znów wypuścić się w pole na długą wycieczkę myśliwską, na łowy „dydaktyczne“. Lisiecia szybko przyswoiły wszystkie fortele, sposoby i chwyt, jakie pokazywała im doświadczona matka i doskonale się nauczyły łapać myszy i małe zajączki.

Przesiedlenie się lisów, które tak zmartwiło kuropatwy i czarną groźbą zawisło nad myszkami polnymi, bardzo do gustu przypadło rodzinie borsuczków, która mieszkała w pobliżu lisiej nory, co nigdy była ich własnym domostwem. Ustąpiły borsuki natrętom lisom i nową twierdzę w zboczcu pagórka wygrzebały. Borsuczęta zaczęły wylazić z nory — pocieszne małe tłuszczoski z lebkami ozdobionymi czarnymi i białymi paskami. Matka, troszcząca się o należyte wychowanie dzieci i zawsze przyzwyczajająca je do skrajnej wprost schludności, cieszyła się wielce, że nie ma już sąsiadów urwisów — nieznających żadnych skrupułów liszki i jej rozbrykanej dziatwy.

W tym samym czasie w głębi boru, gdzie się tało gęstymi zaroślami okolone bagienko-oparzelisko w zimie nawet nie zamarzające — życie rodzinne rozwijało się również doskonale. Kaczka krzyżówka szczęśliwie wysiedziała prawie cały tużin kacząt i teraz nie mogła sobie dać rady, aby dopilnować rozłazających się wszędzie malców, zaczynających porastać pierze. Jej sąsiadka cyraneczka dopiero teraz doczekała się radosnej chwili, kiedy się wykluły drobnusieńkie żółtoszare kuleczki. Szybko czas leci — minie parę tygodni i niezaradne kaczęta staną się klapakami, a potem odważającymi się podrywać podlotami. Opodal bagienka ma swoją ostoję stara sadlista samura — poważ-



Lania z przychówkiem

Fot. E. Kossecki

nie krocząca na czele orszaku, składającego się z siedmiu sporych już w pasiaste kubraczki wystrojonych warchlaków. Pożywienia w lesie znajdują one dosyć, lecz żarłoczna locha już marzy o smakowitych młodych kartoflach, którymi się raczyła w zeszłym roku na sąsiadującym z lasem polu. W zeszłym roku jakoś uniknęła zbrojnych zatargów z człowiekiem — może i tym razem się uda!

Mijają ciche upalne godziny. Cisza otula odurzony skwarem las, cisza wczesnego lata, ciężarna błogą, ofiarną miłością. Cisza, bijąca tętnem setek serc przepelnionych radością i troskami macierzyństwa. Jedyne kukulka samotnica, niesamowitym śmiechem wyszydająca miłość i poświęcenie, tuła się po gajach i borach, szukając cudzych gniazd.

Inż. W. Lindemann

REWIA WYOBRAŹNI

Są takie chwile w pracy, gdy wzrok znużony odrywa się od stosu papierzysek i bezwiednie kieruje się ku ścianom gabinetu, zdobnym w trofea myśliwskie. Wiankiem porozwieszane, bielą lśniących czaszek, różnorodnością form i kształtów, pięknem uperlenia, osobliwością czy szlachetnością nęcą oko poroża sarnie. Jest ich tyle — a jednak z każdym z nich wiąże się jakieś drogie sercu wspomnienie, jakiś ciekawy rozdział kroniki łowieckiej, wciąż żywy i jakże często na nowo przeżywany w myśli. Bo taka już jest przygoda łowiecka — tyle w niej tkwi trudu czy przemysłności w przechytzeniu zwierzca, tyle okoliczności nieraz dziwnych, tyle przeżyć głębokich i mocnych, tyle uczuć najsprzeczniejszych, zmieszanych razem, tyle uśmiechów szczęścia, że nawet jego okruchy po długich latach zdolne na twarzy myśliwca radość rozniecić, gdy wzrok pieściwie obejmuje jedno poroże po drugim, a wyobraźnia wyświetla przed oczami du-

szy myśliwskiej najcudniejszy film — przygody łowieckiej.

Rozpoczynamy zatem tę rewię wyobraźni — ułatwi nam ją zdjęcie, a charakterystyki poszczególnych kozłów dopełni nazwa, bo jakżeby — nie przypadkowy — ale w pocie czoła samemu wypracowany kozioł miał być jakąś bliżej nieokreśloną niewiadomą? A więc na pierwszym miejscu, na tak zwanej „honorowej ścianie“ gabinetu pyszni się na rzeźbionej w dębowe liście deseczce, ze srebrnym medalem na czerepie

Wy s n i o n y.

Określenie to dostało mu się w udziale zresztą dopiero w momencie, gdy kapitalne poroże tego kozła spoczęło w drżącej ze wzruszenia i przeżytych emocji dłoni myśliwego, przedtem bowiem... ale, nie uprzedzajmy wypadków. Kozła tego ujrzałem po raz pierwszy na wielkim łanie konieczyny.

Z daleka dostrzegłem jakiś rudy kształt, sadzący w ogromnych susach ku środkowi wielkiej kotliny, ku której sphywało pole. W szkłe lornetki doskonale zarysowało się wysokie, mocne, pięknie uperlone poroże szóstaka. Kozioł beknął kilka razy grubym głosem, potem opuścił łeb, udając, że skubie koniczynę, zagnała go poderwał, rzucił się kilkom susami w głąb pola, powtórzył ten manewr i wreszcie zaczął żerować, często nerwowym ruchem unosząc łeb ku górze. Co pewien czas stawał jak wryty, wszystkimi zmysłami starając się odgadnąć, czy nie grozi mu skąd niebezpieczeństwo. Czujne łyżki podstawał pod każdy lekki powiew od pól, ciemne, bystre świece chwytaly w lot każde poruszenie w wysokiej koniczynie, a wilgotne chrapy wciągały mocno wonne powietrze badając, czy nie zawiera przymieszki wrogiego zapachu myśliwca.

Prócz tak czułych i umiętnie stosowanych zmysłów ostrzegawczych, skłonna mu była zaboronna natura myśliwego przypisać jeszcze jeden zmysł — telepatii, bo jakże w naturalny sposób wytłumaczyć genialne wprost odgadywanie miejsca zdradzieckiej zasadzki myśliwskiej, skoro ni okiem ją dostrzec, ni zwierzyć, ni słuchem odgadnąć chyba nie było można, a przecież kozioł długi czas w nią nie wpadł, co tym dziwniejsze, że tylko



Fot. J. A. Wysocki
„Wyśniony“

sobie taki szczęśliwy obrót rzeczy długi czas zawdzięczał. Co tu długo mówić — dość że ranki i wieczory, a później nocne wyprawy na zaskaty, by o brzasku w upatrzonym miejscu go zaskoczyć, wszystko to długo pozostawało bez rezultatu. Znali go wszędzie, każdy skrycie marzył o tym, by go zdobyć. Toteż doprowadził on swój zmysł spostrze-

gawczy do takiej doskonałości, że ledwie gdzieś na polu załśniła zdradziecko lufa sztucera, z miejsca sadził ni na moment nie przystawając, za wszystkie granice. Zanim tam stwierdzono jego obecność, potrafił już nową znaleźć ostoję.

Wodził nas długo za nos, a polowanie na tego mądralę pograżyło nas w jakiś chorobliwy stan ciągłego pogotowia, by tylko nie przegapić rzadkiej okazji, gdyby taka się nadarzyła. Nic więc dziwnego, że po długim okresie bezowocnych, a pełnych emocji łowów opanowało mnie w polu takie znużenie, że nie doszedłszy do domu, w kopie siana zasnąłem. I wtedy w odurzającym zapachu siana zapewne wyobraźnia przyniosła dziwny sen: kozioł wstał z wysokiej trawy, w której zaległ przed moim odejściem i zwolna idąc ku granicy zbliżał się do granicznej gruszy, przy której czatował sąsiad. Zwolna podnosi się niezawodna broń myśliwego i nagle budzę się. „Wyśniony“ żyje — oto pierwsza kojąca myśl wcisnęła w rękę strzelbę i kazała raz jeszcze spróbować szczęścia. Nie miało ono jednak obyć się bez goryczy. Kozioł zerwawszy się nagle niedaleko miejsca, które sobie dobrze zapamiętałem przed zaimprovizowanym spoczynkiem, zaznaczył strzał potknięciem się i zginął. Staranne poszukiwania nie dały rezultatu. A kiedy z ciężkim sercem rozstałem się z myślą znalezienia go, zwrócił mi go przypadek podczas konnej przejażdżki. „Wyśniony“ otwiera korowód pięknych rogaczy i jest najlepszym z wszystkich.

E l e g a n t.

Patrzac na te wysokie, foremne, ładnie uperlone, o ostrych jak szpilki grotach poroża ponad wszelką wątpliwość młodego kozła — żal mi go. Trzeba mu było jeszcze dwa lata zostawić... Wówczas jednak brak mi było jeszcze tego doświadczenia w ocenie, a kozioł wydawał się tak mocny i chęć zdobycia jego poroża tak wielka, kiedy pięknego ranka stał wśród uperlonej rosą zieleni wyki... O podejściu nie było mowy. Zlekka sfalowane pole nie umożliwiało skrytego podejścia, skoro na samym grzbiecie pagórka stał przedmiot mej łowieckiej pożądlivosti. Stał, niezdecydowany, dokąd iść. Obfita rosa nie zachęcała do brodzenia, raczej warto było poczekać, aż słońko gorącym językiem zliże z sukni zimną wilgoć. Decyduję się podpełznąć. Wylot sztucera owinięty szmatką, pokrowiec na luncie, płaszcz i obuwie ukrywam na miejscu i pełzam. Trudny to był podchód, tym przykrzejszy, że w połączeniu z uczuciem obawy, że jeśli nawet kozioł mego manewru nie zauważy, to przecież może mi zniknąć, zanim do niego podpełznę. Długie kwadransy w pocie czoła, cały skąpany w rosie, chroniąc broń przed zamoknięciem czołgałem się w kierunku wzgórza, w żółwym tempie zbliżając się do upatrywanego na wzgórcu celu.

Na pierwszej wyniosłości unoszę ostrożnie głowę — kozła nie ma! Struchlałem. Podnoszę lornetkę i badam miejsce, gdzie stał. Przeszukuję starannie wzrokiem uzbrojonym w świetne szkło niemal centymetr po centymetrze. Tam, w tej kępie jakieś poruszenie... znowu. Jest! Leży. Uniósł nieco łeb. Widzę dobrze jasne końce tyk, wypustki przednie

i grotty błyszczą w słońcu. Każde poruszenie pokazuje nowe, jeszcze przed chwilą niewidoczne zalety oręza tego regularnego szóstaka. Kozioł muska się po barkach, gładzi suknię, drapie się badylem, ociera całą długością o wygniecione źdźbła, słowem wykonuje szereg skomplikowanych czynności, związanych z sarnią toaletą. Pewnie jeszcze śwędzenie poroża młodego daje się we znaki, bo co chwila próbuje wycierać tyki o elastyczne badyle zielska — w braku gałęzi. Wszystko to odbywa się w pozycji leżącej z takim zapalem, że umożliwia mi



Fot. J. A. Wysocki
„Elegant“ — rogacz z kielkami

skryte podczolganie się do odległości dobrego strzału. „Elegant“ z taką skrupulatnością usuwa braki sukni, doprowadzając ją do stanu wybitnej koźlej wytworności, że dygocącemu po przeprawie w rosie zaczyna się to przykrzyć. Raz przecież podnieść się musi. Rozprostowuję członki zeszywniałe w niewygodnej pozycji, gdy rogacz klęka, wstaje i wypręża się w całej swej okazałości. Po strzale pada w ogień. Badanie uzębienia przyniosło prócz stwierdzenia przykrego faktu, że kozioł nie jest stary — niespodziankę w postaci grandli (kielki-pniaki), co u sarn stanowi osobliwość.

Szydlarz.

Pod wieczór zjechał się go na sto kroków wozem. Stał sam opodal sporej chmarki sarn, śledzących jego zachowanie z niepokojem. Nieraz pewnie już prześladowany, bo skoro tylko zauważył, że

wóz do niego nieznacznie się przybliży, zniknął nam w susach za wzgórzem. Kozioł wydawał się podejrzany, toteż zatoczywszy duże koło podjechał raz jeszcze. Przez lornetkę zauważyłem gładką, ostrą, pojedynczą tykę, wyrastającą jakby ze środka czerepu. Sztylet ten — co zresztą potwierdziła obserwacja — kwalifikował go na szydlarza, co przy awanturycznym usposobieniu, spotęgowanym niewątpliwie sukcesami w walce z rywalami, czyniło zeń niebezpiecznego dla łowiska zbója. Z tego względu też kuzyn, zamiłowany hodowca, który nie strzela u siebie ani jednego kozła, pragnąc ich mieć jak najwięcej, tym razem zrobił wyłom w regule i prosił, by pobyt w jego majątku łowami na tego kozła urozmaicił.

Wydawało się to zrazu proste. Zwierzyna nigdy nie strzelana darzy tu człowieka wyjątkowym zaufaniem, pozwala podjechać bardzo blisko, nawet nie umyka, gdy powóz stanie, a jednak — z szydlarzem sprawa okazała się nie tak łatwa. Ulubioną ostoję jego stanowiło duże pole buraków. Tym wszystkim, którzy z lekceważeniem wyrażają się o polowaniu na polne sarny radzę spróbować pochodu w takim właśnie „łatwym“ i „przejrzystym“ terenie, a zmieniają zdanie. Efekt kilku nieudanych prób był taki, że szydlarz zawsze w porę przewidywał każdy mój manewr i po kilku dniach tak dobrze już mnie znał, że samo pojawienie się gdzieś na odległym wzgórzu z lornetką przy oku czy próba podjazdu wozem były sygnałem do wścieklej ucieczki. Kozioł ginął potem na pewien czas, by ukazać się wreszcie w zupełnie innym miejscu.

Zaciąłem się — muszę go dostać. Raz zauważyłem, jak przepłynął rzeczkę graniczną i ukazał się po niemieckiej stronie, przy czym i to nie uszło uwagi, że żerujące spokojnie po drugiej stronie dwie kozy na jego widok uciekły w susach. Czekalem długo nad rzeczka. Bezsukutecznie. Aż kiedyś rankiem dostrzegłem go, a raczej odgadłem w wysokim zielsku nadbrzeżnym, jak stał, ostrożnie wietrząc w kierunku granicy. Ponad zielenią wystawał mądry łeb z ostrą jak sztylet tyką. Najmniejszego poruszenia. Czy aby wytrzyma tak długo — pomyślałem, obliczając czas potrzebny do podejścia go na strzał. Dziś jeszcze wydaje mi się to wciąż niezrozumiałe, ale kozioł stał nieporuszenie prawie godzinę w tym samym miejscu, zanim zdołałem korytem rzeczki podejść go na strzał. Kula sięgnęła go w momencie, gdy wchodził do rzeki, by uciec... pod lufę drugiego, czyhającego po drugiej stronie myśliwca. Zauważyłem go dopiero, gdy ciągnąć swą cenną zdobycz z wody rzuciłem okiem na przeciwny brzeg. Stał i ocierał pot z czoła, nie życząc mi pewnie w tej chwili nic dobrego, co zresztą na łowach człowiekowi podobno na zdrowie wychodzi...

Kozioł z przypadku.

Rogacz ten spadł mi po prostu z nieba razem z deszczem. Nie tak dosłownie znowu, na taką łacinę sobie nie pozwolę. A było to tak. Oddaliłem się już dobry kwadrans od domu, gdy nagle zaczęło padać (zapał myśliwski nie pozwolił mi wcześniej dostrzec gromadzących się chmur). Siadam zatem pod jedyną wierzbą na obszernej łące, owijam

się płaszczem, gdy już zaczyna łać na dobre. Daleko przed sobą na wzgórzu dostrzegam jakiś ruch. Na samym horyzoncie pędzą sarny. Sadzi jedna za drugą, sznurkiem. Chmara zatacza wielkie koło i bierze kierunek na moją wierzbę. Giną za wzgórzem, gdy pospiesznie dobywam spod płaszcza sztucer. Na długie lornetkowanie brak czasu. Trzecia sztuka mocny kozioł, czwarta kozioł również, ale słabszy — iglica lunety na cel, w ogniu chmara pryska na wszystkie strony. Wiedziałem, że kozioł był dobry, ale jednak radość moja wzrosła, gdy popatrzyłem nań z bliska. Tak, ten spadł mi po prostu z nieba...

T a j e m n i c z y.

Wiedziałem o nim od dawna. Tropy jego duże, głęboko wyciśnięte w tłustej ziemi, duży odstęp badyli, wskazywały na mocnego kozła. Ukrywał się jednak zręcznie czy to w bagnie zupełnie zarosniętym i niedostępnym, czy też w wąwozie pełnym zakamarków, pokazywał się o zupełnym zmroku i szczerze mówiąc, raczej odgadywaliśmy jego obecność niż widzieliśmy go. Jednego kozła miałem ubić, nie miał więc być hyle jaki. Całymi dniami tropiłem go bardzo ostrożnie, by go nie spłoszyć, zasiadałem na niego na przesmykach, szukałem w ulubionych ostojach sarnich i na najlepszych żerowiskach — bez skutku. Kozła nie mogłem zobaczyć. A jednak był. Kilka razy świeży jego trop prowadził w pole lubinu, niestety tak wysokiego, że krył zwierzynę całkowicie. Zasiadłem wreszcie na stogu, do którego mogłem jedynie dotrzeć idąc z nieuniknionym hałasem przez część lubinu.

Po kilku godzinach w lubinie zaczęło się życie. Dobre wybrałem miejsce, bo pole to stanowiło świetne schronienie dla wszelkiej zwierzyny. Saru było sporo, a nawet lisia mama wyhodowała tam swe potomstwo, które o zachodzie poczęło wypelzać ze swej świetnej kryjówki. Przede mną poruszenie — z lubinu sterczy głowa, strojona w parostki. Widać kawał szyji, dla dobrze wstrzelonej broni cel wystarczający. Po strzale w lubinie zakotłowało i nagle, kilka kroków od tego miejsca — ukazuje się kozioł, doskonale widoczny z profilu. Czyżbym chybił — trapi pierwsza myśl. Chyba nie... Kozioł odskakuje, znów przystaje. Prezentuje w całej okazałości swe kapitalne poroże. Waham się długo, wreszcie puszczam go. Idę na miejsce strzału. Leży przede mną stary wstecznik o cienkim, lichym, zwichrowanym, na wysokich i cienkich (!) pniach osadzonym porożu. Dobrze się stało. W domu opowiadam z przejęciem o kapitalnym, którego nie strzeliłem, mając już wstecznika przypuszczalnie na rozkładzie i słysząc w odpowiedzi uprzejmie: „Przecież trzeba było strzelić! Taka okazja...“ Rzeczywiście, taka okazja już się nie trafiła, a „tajemniczy“ nr 2 pewnie jeszcze żyje.

S m o l a r z.

„Mam dla pana coś całkiem apartnego“ oświadczył mi poczciwy gajus, kiedy po kilku dniach mimo kilku spotkań z kozłami nie zdecydowałem się na strzał ani razu. Łowisko było z dobrych kozłów „oczyszczone“, a żadnego z licznych zresztą

młodych rogaczy strzelać nie chciałem. Zaintrygowała mnie więc zapowiedź gajusa, któremu swe upodobania odkryłem. Smolarz miał być mocnym, starym wstecznikiem, włóczącym się od szeregu lat to tu, to tam, ale nieuchwytnym dla zjeżdżających tu gości sezonowych. Ostrożnie brnąc w ciemności od drzewa do drzewa zbliżyliśmy się do małej łączki, na której w mgłę porannej czasem się ukazywał, ginąc w gąszczu o świcie, by opuścić swą kryjówkę z nastaniem ciemności.



Fot. J. A. Wysocki

„Smolarz“

Zwolna się rozwidniało, gdy we mgłę zamajaczyły w gonitwie dwie sarny. Ukazały się z nagle i znikły. Sztuka goniąca niezawodnie była kozłem. Przebiegały tak blisko, że słycać było wyraźnie dyszenie kozła ścigającego w miłosnej gonitwie kocz. Wnet dziki karuzel porwał za sobą jeszcze jedną sztukę. Napięcie wzrosło do granic: na arenie ukazał się mocny i z całą zapamiętałością starał się przepędzić na cztery wiatry pierwszego. Zbliżyłem się ostrożnie kilka kroków — zawahałem — przystanąłem. Za ciemno niestety. Wabię raz jeszcze, przerwa — znów wabię — z mgły wypływa zwolna głowa z dziwnym, grubym porożem, zwolna wynurza się cały tułów. Kozioł z zainteresowaniem wietrzy w moim kierunku. Teraz widać go nareszcie dobrze. Siwy łeb, gruby kark, czarne, silnie ku

przodowi nachylone poroże, na jednej tyce korkociąg, koniec drugiej łopatkowo spłaszczony — ten! „A nie mówilem, że całkiem apartny“ podkreśla dzieląc mą radość, gajowy.

Patrzę w zamyśleniu na poroża uszeregowane na ścianie, a każde z nich opowiada mi swą własną historię, każde inną w szczegółach, odmienną, ale jakże bogatą w prawdziwe klejnoty wzruszeń.

Józef Wysocki

O CZERWCOWYM ODSTRZALE ROGACZY

Z dniem 1 czerwca rozpoczyna się w woj. poznańskim i pomorskim okres polowania na kozły, który trwa do 1 października. Z punktu widzenia racjonalnej hodowli można w nim wyróżnić trzy podokresy: pierwszy do 10 lipca, drugi, okres rui, od około 10 lipca do 15 sierpnia, trzeci od 15 sierpnia.

Przed rują i podczas niej należy odstrzeliwać wyłącznie kozły selekcyjne, chore oraz kozły stare, które już dawno przekroczyły kulminacyjny okres rozwoju, zaś kozły znajdujące się u szczytu możliwości, oraz sztuki kapitalne dopiero w trzecim podokresie po dokonaniu przez nich funkcji rozplodowych. Zanim jednak zajmiemy się wyłącznie kwestią odstrzału myłkusów, kilka uwag natury ogólnohodowlanej.

W każdym, prawidłowo zaprowadzonym łowiisku powinien istnieć, możliwie dokładny spis stanu saren. Jeżeli właściciel, względnie dzierżawca łowiska nie może na to poświęcić tyle czasu, ile tak ważna kwestia wymaga, rachunek powinien prowadzić zaufany leśnik. Spis ten trzeba podzielić na dwie zasadnicze kategorie: 1. sarny z podziałem na: a) matki, b) sztuki jałowe, c) koźlęta, oraz 2. kozły: a) szpiczaki, b) widłaki, c) szóstaki, d) sztuki przeznaczone do odstrzału, e) kozły kapitalne. Przy obliczeniach na przyszłość musimy pamiętać, że z 3—4 szpiczaków i widłaków wyrasta zaledwie jeden prawdziwie dobry koziół. Główną uwagę należy skierować przede wszystkim na odpowiednią proporcję kozłów i kóz. Idealnym jest stosunek 1 : 1, jeszcze dopuszczalnym 1 : 3, a to dlatego, że przy zbyt wielkiej ilości saren dochodzą podczas rui do głosu zbyt młode i zbyt słabe kozły, co ma rzecz jasna fatalny wpływ na potomstwo. Przeciwdziałać temu należy przez oszczędzanie dobrych reproduktorów przynajmniej do rui włącznie, oraz bezwzględny odstrzał jałowych kóz, który wymaga jednak dużego znastwa i dlatego przeciętny hodowca winien się ograniczyć do strzelania osobników, których bezpłodności jest w stu procentach pewien, oraz sztuk chorych, co jest przeważnie wzrokowo łatwe do stwierdzenia. Zalecany jest również jesienny odstrzał słabych koźląt. Tutaj bardzo pomocną jest reguła, od której odstępstwa zdarzają się nader rzadko, że za matką postępuje zawsze kózka, a dopiero za nimi koziółek.

Szczególnie jednak destrukcyjnym czynnikiem w racjonalnej hodowli saren są kozły selekcyjne i wsteczne. Osobniki te, przeważnie o silnie rozwiniętym popędzie płciowym biorą najbardziej czynny udział w rui, rozpędzając kozły zdrowe, niekiedy kalecząc je boleśnie, a nawet śmiertelnie

w walce zwanej rogowaniem. Ponieważ zaś w większości wypadków zniekształcone poroże bywa dziedziczne, przeto kilka myłkusów może obrócić w niwecz cały wysiłek hodowlany.

Wśród kozłów selekcyjnych wyróżniamy trzy zasadnicze typy: a) kozły o rogach zagiętych w dół; b) kozły tzw. „bagienne“; c) perukarze. Poroże zagięte w dół będące wynikiem wad ustrojowych, jest objawem trwałym i przechodzącym z pokole-



Fot. E. Kossecki

„Widłak“

nia na pokolenie w drodze rozmnoży. Niedbał przyczynę tej anomalii upatruje w chorobie wątroby na skutek pasorzyta zwanego motylicą twierdząc, że w czasie silniejszego ataku choroby tyki i odnogi wprawdzie rosną dalej, lecz nie twardnieją, tylko własnym ciężarem zwieszają się w dół, by w tej postaci zwapnieć, skoro nastąpi polepszenie zdrowia. Proces ten może się powtarzać kilka razy w czasie odrastania parostków. Dlatego ten typ kozłów należy bezwzględnie tępić, gdyż nie ma nadziei, aby w przyszłości mogły mieć poroże normalne, a nadto są one szkodliwe z punktu widzenia hodowlanego. To samo odnosi się do typu kozłów bagiennych, to jest takich, których obie tyki są fantastycznie, lecz symetrycznie powyginane i porowate. Nieco inaczej ma się rzecz z perukarzami, gdyż w tym wypadku de-

generacja parostków ma charakter nabyty. Należy tu jednak rozróżnić perukarza kostnego, u którego przelewa się masa kostna, od włochatego, pokrytego grubą warstwą mechu scypułowego. Pierwszy typ powstaje przeważnie wskutek infekcji, uszkodzonej w czasie odrastania masy rogowej, drugi zaś głównie wskutek uszkodzeń organów rozplodowych. Jedyńy przeze mnie zdobyty perukarz włochaty cierpiał na nieznaną mi bliżej chorobę jąder, w wyniku której jedno z nich było w zaniku. Perukarze nie wycierają, ani też nie zrzucają parostków, na skutek czego te ostatnie dochodzą nieraz do niesamowitych rozmiarów. Ciekawych bliższych szczegółów powstawania peruki, odsyłam do kwietniowego numeru „Myśliwego” (str. 56). Znane są zresztą powszechnie niezbyt humanitarne wypadki sztucznego fabrykowania perukarzy włochatych, drogą kastracji złapanych przypadkiem do niewoli kozłat. Tak czy owak są to najmniej groźne dla hodowli odmiany kozła selekcyjnego, które jednak, jako jednostki chore, powinno się z łowiska usunąć.

W żadnym wypadku natomiast nie są selekcyjnymi kozły o jednej tyce normalnej, drugiej zaś zniekształconej, chociażby nawet najbardziej potwornie. Jest to bowiem zawsze rezultat uderzenia w czasie, kiedy parostki w scypule są jeszcze niewykształcone, miękkie i podatne na uszkodzenie. Dzieje się to na skutek wywołanego raną zapalenia, w konsekwencji czego skórka otaczająca tworzące się parostki, składa tu, dzięki intensywnemu napływowi krwi, znacznie obficie substancję kostną. W razie kiedy skaleczenie odrastającej tyki było bardzo głębokie, sięgające aż do róży, spotykamy nad jedną różą podwójną tyki. Wszystkie te anomalności zrzucił kozioł na zimę i w następnym roku, o ile nie przydarzy mu się ponownie coś podobnego, będzie miał parostki zupełnie normalne. Jest to szczegół na ogół mało znany i nawet na pokazach trofeów można spotkać tego rodzaju parostki, błędnie sklasyfikowane wśród selekcyjnych.

W okresie przed rują powinny być również strzelane wsteczniki, czyli rogacze, które przeszły już punkt szczytowy swojego rozwoju. Mając do czynienia z porożem już spreparowanym dysponujemy całym szeregiem kryteriów, jak: krótkie i grube móźdzenie, starte uzębienie, pozalewane

szwy i chropowatość czaszki, po których łatwo poznamy starego kozła. Nieco trudniej przedstawia się sprawa z kozłem żywym, ale i w tym wypadku nietrudno, przez dobrą lornetkę, odróżnić osobnika starego od młodego. Wskazują na to parostki o krótkich odnogach, które zatracają smukłość linii na rzecz grubości, oraz wygląd zewnętrzny kozła: krótki i gruby kark, siwy, krótki a szeroki łeb, charakterystyczne dla podeszłego wieku. Również samo zachowanie się starego kozła jest odmienne niż młodego. Pierwszy, nader ostrożny, zwraca uwagę na lada szelest i nim skubnie trawę, parę razy bacznie zlustkuje świecami okolicę, drugi z całą nieroztropnością młodego wieku małą zwraca uwagę na otoczenie. Są to jednak wszystkie momenty mniej lub więcej względne. Decydującą rolę w ocenie wieku grają róże. Róże opadające ku dołowi (daszkowato), nie położone już prostopadle w stosunku do tyk, ale pod kątem rozwartym, są niezawodnym kryterium starości.

Pośród wsteczników należy specjalną uwagę poświęcić typowi kozła szydlarza i to, ze względu na wielkie niebezpieczeństwo jakie przedstawia dla łowiska. Rogacz ten przypomina kształtem poroża szpiczaka, gdyż w swym klasycznym typie ma również tyki pozbawione odnóg, wszakże podczas gdy u szpiczaka zaostanie idzie łagodnie, a parostki są cienkie, u szydlarza róże opadają ku dołowi, rogi zaś ma grube na końcu szybko zaostające się. Tego rodzaju kozioł zwany jest w popularnej gwarze „mordercą”, ponieważ znane są wypadki zabijania przez niego w walce osobników słabszych.

Zarówno wsteczniki, jak selekcyjne, z wyjątkiem może perukarzy, są nadzwyczaj ostrożne i trudne do podejścia na strzał. Tym większą jednak winna być radość myśliwego z upolowania takiego okazu, a to uczucie powinna dopełniać świadomość zadośćuczynienia kardynalnemu obowiązкови hodowli, od którego zależy pomyślny rozwój łowiska.

Józef Jastrzębiec-Szczepkowski

* * *

Przyp. Red. Ujęcie autora odnośnie klasyfikacji parostków selekcyjnych nie jest zupełnie ścisłe i wyczerpujące. Rzuca jednakże snop pojęć do ogólnie zaniedbanego tematu odstrzału hodowlanego sarn-rogaczy.

CZY UBARWIENIE POROŻY U CERWIDÓW NASTĘPUJE EXOGENICZNIE CZY ENDOGENICZNIE?

Pod powyższym tytułem ukazał się w nrze 1/2 nowopowstałego naukowego czasopisma łowieckiego „Zeitschrift für Jagdkunde”, artykuł pióra Augusta Fischera, który swoimi wywodami i wyciągnięciem z nich wnioskiem, bardzo mi do przekonania przemówił. Wedle mego zdania spotkałem się tu po raz pierwszy dopiero z wyjaśnieniem kwestii powstawania zabarwienia poroży cerwidów. Pytanie to od dawna zaprzęta umysły wielu myśliwych,

powtarza się często na łamach prasy łowieckiej, ale odpowiedzi dawane na nie, nie wytrzymały krytyki naukowej. Autor omawianej pracy, widząc niedomagania dotychczasowych teorii, zabrał się naukowo do pracy i doszedł do wyników, które przewracają dotąd powtarzane wyjaśnienia tej kwestii.

Autor rozpoczyna od ogólnych uwag o zabarwieniu poroży cerwidów. Konstatuje, że gólnie za-

barwienie poroży saren i jeleni jest koloru brunatno-żółtego a trafiają się od tego odchylenia od wapienno-białego do jasno-żółtego z jednej strony a od brunatnego aż do ciemno-czarnego z drugiej strony. Ale uderzającym jest, że zawsze na miejscach, gdzie zabarwienie występuje płaszczynowo jest ono jednolite, także w zagłębieniach między perlami jak i w bruzdach, zarówno z zewnętrznej czy wewnętrznej strony. Nie trafia się naprzemian nierówno lub inaczej ubarwionych miejsc lub plam, płaszczyny są raczej tak jednostajnie zabarwione jak tego oczekuje farbiarz gdy materiał zanurzy w barwiku. Z tego stwierdzenia wyciąga później autor wnioski w tym kierunku, że gdyby zwierzyzna przez wycieranie zabarwiała swoje poroże, to nie mogłoby to stać się tak jednostajnie.

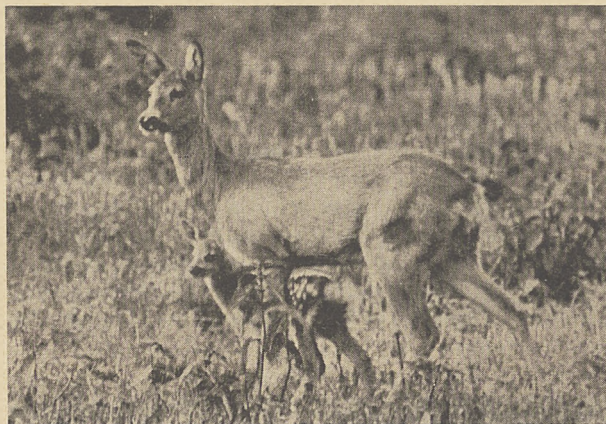
Dalej przedstawia autor teorie, które dotąd uchodziły za mniej lub więcej miarodajne. A więc Krumbiegla przypisującą zabarwienie poroża garbnikom, ziemi, kwasom humusowym, sokom korowym, serum i farbie (krwi), Olta i Strösego twierdzących, że przy wycieraniu poroży dostają się skutkiem ich porowatości do nich soki roślinne. Dalej wspomina o zdaniu Jacobiego, że zabarwienie powstaje z wycierania o korę, o badaniach Korfa, który sądził, że farba z kurzem pomieszana dostaje się do środka kości aż do systemu kanalików i naczyń systemu Haversa. Tym zwolennikom zabarwiania od zewnątrz przeciwstawia autor teorię Combe'go, który podnosi, że dojrzałe poroże nawet pod scypułą jest już zabarwione a barwy brak tylko niedojrzałemu.

Te teorie przypisujące zabarwienie poroży czynnikom zewnętrznym zbija autor, co pokrótce można ująć w ten sposób, że soków korowych czy roślinnych jest za mało aby dostarczyły dostatecznego ubarwienia, dalej trudno jest przecież aby te soki wszędzie się dostały a więc powstawałyby plamy i nierówności w ubarwieniu, poza tym tak te barwiki jak i farba ze scypuły łatwo byłyby zmywane przez rosę i deszcz. Zresztą, gdy się przyjąć musi, że w wycieraniu poroży jest celowość, to trudno przypisać zwierzęciu wyczucie odpowiedniego mieszania barwików.

Następnie przechodzi autor do wyników swoich doświadczeń na tle badań przekrojów poroży oraz uzyskanych z nich cieniutkich płytek (Dünnschliff). Przy normalnych porożach przekroje wykazują zabarwienie wyrównane, przy białych zaś jasno-wapiennych ukazuje się słabo brunatny pierścień albo tylko nawet łuk sierpowaty. Przekroje poroży rogaczy tzw. błotnych są czarne jak heban. Przekroje poroży normalnie ubarwionych przedstawiają się jako regularnie zmieniające się jasno i ciemno ubarwione koncentryczne pierścienie barwne. W środku zaś mają wszystkie zabarwione tyki żółtawą masę rdzeniową przez którą prowadzi jeden kanał centralny, czasem przez jego rozwidlenie tworzą się dwa kanaliki. U jasnych wapiennych tyk rdzeń i kanał jest tylko zaznaczony przez wgłębiony żółty punkt. Ten rdzeń w przeciwieństwie do masy zewnętrznej stanowi luźna tkanka kostna, poddająca się lekko nakłuciom szpilką. Cieniut-

kie płytki brunatnych tyk wykazują pod światło zabarwienie czerwono-brunatne w koncentrycznych pierścieniach, takie same płytki czarnych tyk (rogaczy błotnych) mają kolor winno czerwony.

Podpadające są różnice w histologicznej budowie, białe wapienste tyki mają równą ścisłą tkankę kostną a ciemne tyki luźniejszą budowę kostną z dość małą ilością farby (krwi), zaś czarne wykazują marną budowę kostną z wielką ilością farby wewnątrz. Tu trzeba zauważyć, że przez zamknię-



Fot. P. K.

Siuta z przychówkiem

cie scypułą nic nie mogło dostać się z zewnątrz, a farba (krew) ścina się i nawet zmieszana z kurzem nie może dostać się w głąb kości, to samo odnosi się i do barwików.

Kozły i jelenie rozpoczynają zrzucanie scypuły i wycieranie, gdy poroże dojrzeje i kość stwardnieje a scypuła zamrze i stanie się niewrażliwą. Pęd do wycierania leży we krwi cerwidów i jest wyrazem siły i popędu płciowego. Wycierają one dalej nawet po zniknięciu scypuły, należy też odrzucić rzekome „świerzbienie“ zamierających nerwów i mniemanie, że wycieranie jest samo przez się celem do zabarwienia poroża. Scypuła w chwili jej zrzucania jest zamarła albo w stanie wilgotno-zgangrenowanym, dlatego krwi z niej wypłynąć może bardzo mało. Tak samo dobrze w tym momencie wpływa krew i z samych tyk. Zewnętrzne wpływy zatykające pory jak farba zmieszana z nieczystościami mogą wyrzucić tylko wpływ na wstrzymanie wypływu wewnętrznej farby (krwi) a tym samym na ubarwienie.

W czasie wzrostu otrzymuje poroże pożywną krew przez delikatne naczynia do kości przylegających warstw scypuły, natomiast grubsze naczynia, położone między wewnętrznymi warstwami nie wysyłają grubszych odgałęzień ku kości. Oprócz tego źródła odżywczego jest jeszcze drugie i to wydajne i to od podstawy, od której wzrost się rozpoczyna. Dlatego nie brak dopływu farby (krwi) porożom wyposażonym w centralny rdzeń, i to nawet po zerwaniu związku kości ze scypułą. Trwa on aż do chwili zrzutu, bo przecież w tym momencie krwawi nie tylko spód róży ale i szczyt tyki. Skutkiem procesów biologicznych następuje nagroma-

dzenie się krwi w tykaciu, które żyją, co jest zrozumialsze niż mówienie o noszeniu przez cerwidów martwych kości.

Na podstawie tych tu pokrótce przedstawionych badań, które autor szczegółowo wywodzi, dochodzi do przekonania, że właśnie tej wewnętrznej farbie (krwi) należy przypisać dużą rolę w barwieniu poroża. Nie czyni tego atoli autor mechanicznie, uznaje bowiem, że zachodzi też specyficzny dla cerwidów jakiś proces chemiczno-fizjologiczny. Można tu wskazać na procesy barwiące u innych zwierząt. Istnienie atoli jakiegokolwiek pigmentu w porożu nie udowodniono i kolor poroża nie stoi w związku z ogólnym pigmentowym zabarwieniem sukni. Dowód na to, że i sarny-albinosy mają ciemne poroża. Musimy atoli bezwzględnie przyjąć jako człon naszego rozumowania, że światło i zmiany atmosferyczne wywierają wpływ na wyrobienie się barwika i kolorowanie powierzchni kostnej. Np. chlorofil staje się zielenią roślinną dopiero pod wpływem światła. Tyki są w scypule wapienno-białe, zaróżowione lub lekko pociemniałe a właściwe zbrunatnienie ich następuje po uwolnieniu z scypuły. Dodać trzeba, że miejsca czasowo zasłonięte od wpływu światła czy to przez resztki scypuły, włosy, brud

itd. wykazują mniej koloru gruntowego. Dlatego spody róż tkwiące w skórze są zupełnie jasne. Na fizjologiczny a nie mechaniczny proces barwienia wskazuje i równe stopniowanie intensywności zabarwienia, które od dolnych części ku górze traci na natężeniu tak, że szczyty tyk mają najczęściej jasne końce. Tak samo jasne są wszystkie części wychodzące z płaszczyzn, jak perły, koniuszki róż itd.

Na podstawie tych przesłanek w zakończeniu tak autor streszcza wynik swoich badań:

Ubarwienie poroża u cerwidów nie jest wewnętrznym zabarwieniem, tylko pochodzącym od wewnątrz kolorowaniem tkanek, które podlega biologicznemu procesowi. Jaśniejszy lub ciemniejszy ton koloru poroża jest zawisłym od ilościowej zawartości krwi w kościach, a ta znowu od mniej lub więcej posuniętego procesu zwapnienia początkowo organicznie zbudowanych kości w scypule. Wycieranie, roślinność i grunt (bagienny) nie mają bezpośredniego znaczenia dla zabarwienia, tylko te dwa ostatnie czynniki pośrednie i to co do zapotrzebowania minerałów przy wymianie materii u zwierząt noszących poroże.

S. M.

OSTROŻNIE Z BRONIĄ

Przeglądając w ciągu ubiegłego sezonu myśliwskiego naszą zagraniczną prasę myśliwską, a głównie codzienną, zauważyłem niestety duże wzmoczenie się liczby nieszczęśliwych wypadków, skutkiem nieostrożnego względnie niewłaściwego obchodzenia się z bronią palną.

Wypadki te mają zawsze bardzo przykre następstwa dla obu stron i dlatego uważam za wskazane w obecnym martwym sezonie w niniejszym artykule wyczerpująco ten temat omówić — wychodząc z tego założenia, że im dokładniej szerokiemu ogółowi myśliwych — szczególnie młodych — będą znane źródła i przyczyny tych wypadków, tym łatwiej ich unikniemy; u nas myśliwych, których obdarzono zaufaniem posiadania tego tak nadzwyczajnej ostrożności wymagającego narzędzia, jakim jest broń palna, ciąży tym bardziej obowiązek zaznajomienia się z nimi.

Podzielę przyczyny nieszczęśliwych wypadków na kilka grup.

1. Grupa.

Na nią składają się wypadki, wynikające wprost z karygodnego lekceważenia k a r d y n a l n y c h z a s a d obchodzenia się z bronią. Na ich czele postawiłbym jako dogmat zasadę: „Każdą broń palną uważaj za nabitą, gotową do strzału!”

Niemniej ważną jest zasada, biorąc jakąś broń do ręki, zbadanie najpierw z należytą ostrożnością, czy nie jest nabita?

Nie będę powtarzał innych, ogólnie znanych reguł, że broń należy dopiero wtedy nabijać, gdy się stoi na stanowisku względnie gdy się zaczyna kociołek lub ława i bezzwłocznie wyjąć naboje z lufy,

gdy się miot skończy względnie odezwie 3 sygnał trąki przy kotle.

Bardzo niemyśliwskie jest strzelanie w drodze między jednym a drugim miotem względnie kotłem; znamionuje to „strzelacza“, chciwego strzału, a nie myśliwego i w towarzystwie prawidłowych myśliwych nie jest takie strzelanie cierpiane, głównie dlatego, że jest ono często źródłem wypadków.

Ilu ludzi wykracza lekkomyślnie, wsiadając na wóz, sanie, do samochodu lub do wagonu z n a b i t ą , choć zabezpieczoną bronią?

Oczywiście nie ma reguły bez wyjątku — tak więc i w naszych, w bandyckie napady tak obfitych czasach, trzeba nieraz podróżować, mając broń nie tylko nabitą, ale wprost pod ręką, niemal gotową do strzału.

Są to jednak raczej wyjątkowe sytuacje — a nie mające zwykle złych następstw, bo ten stan pogotowia i napiętej uwagi nie pozwala zapomnieć o rozładowaniu broni, gdy potrzeba minie.

Wszystkie zasady i reguły obchodzenia się z bronią, są ogólnie znane i nie chcę przez powtarzanie ich zabierać niepotrzebnie miejsca.

Żywię natomiast przekonanie, że jest pewna kategoria strzelców (nie myśliwych), których mentalności pojęcie i zmysł dla pewnej dyscypliny strzeleckiej jest do tego stopnia obcy, że tu żadne pouczenie i przypominanie nic nie pomoże. Są to notorycznie l e k k o m y ś l n e osobniki, które zwykle nie przeszły należytego przeszkolenia strzeleckiego — i na których nie ma innej rady, jak drakańskie kary aż do odebrania karty na broń włącznie.

2. Grupa.

Jak już na wstępie nadmienilem, chcę w niniejszym artykule poruszyć te przyczyny nieszczęśliwych wypadków, które leżą w nieznanom ości różnych właściwości broni względnie jej konstrukcji.

Dziś ogólnie jest w użyciu broń bezkurkowa i zaznajomienie się z właściwościami jej konstrukcji i źródłami niebezpieczeństwa, leżącymi właśnie w tej ostatniej — uważam za bardzo potrzebne, wiedząc z doświadczenia i licznych własnych obserwacji, jaka ignorancja na tym polu panuje.

Daleki jestem od twierdzenia, jakoby broń kurkowa należała do „bezpieczniejszych“ systemów. Przeciwnie! Ale kontrola przy niej jest łatwiejsza, bo rzut oka na kurki wystarczy do oceny, czy broń jest gotowa do strzału, czy nie.

Inaczej przedstawia się sprawa, gdy chodzi o broń bezkurkową, gdzie kontrola, czy suwak nastawiony na „S“ względnie na „F“, wymaga już szczegółowego oglądnięcia broni.

Ale samo zabezpieczenie bezkurkowej broni jest nieraz dość problematyczne.

Rozróżniamy bowiem zasadniczo trzy rodzaje zabezpieczenia przy tym systemie, a to:

- a) zabezpieczenie wyłącznie cyngłów,
- b) zabezpieczenie dźwigni,
- c) zabezpieczenie młotków,

oprócz różnych kombinacji i równoczesnego zastosowania tych zabezpieczeń.

Zanim na temat tych zabezpieczeń przejdę, pozwolę sobie zaznaczyć, że najpewniejsze zabezpieczenie stanowi zawsze wyjęcie naboju z lufy.

Zabezpieczenie cyngłów polega na tym, że przesuwając suwak „a“ — patrz fig. I i II — ku przodu,

kładziemy przy pomocy kolanka „b“ na oba cyngle bezpiecznik „c“, przez co te ostatnie są unieruchomione.

Drugim typem bezpiecznika jest tzw. „wał Greenera“, używany zwykle przy zamkach bocznych. Wycięcie „w“ w wale — patrz fig. III — pozwala

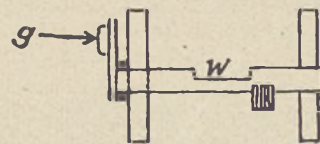


Fig. III. Wał Greenera.

na ściągnięcie obu cyngłów: chcąc broń zabezpieczyć, obracamy przy pomocy guziczka „g“ wał o 90°, co powoduje absolutnie pewne zablokowanie tych ostatnich.

Zasadniczo więc rzekomo doskonale rozwiązanie i jednym i drugim sposobem.

Jednak w łańcuchu części składowych, powodujących wystrzał, stanowią cyngle dopiero pierwsze ogniwo. Drugim ogniwem są „dźwignie“, zaskakujące w ząbki, wycięte w „orzyszku“, stojące pod naciskiem małych sprężynek, trzecim zaś „młotki“, uderzające w iglice.

Co się stanie, jeśli albo sprężynka dźwigni pęknie albo np. wskutek silnego wstrząśnienia wyskoczy dźwignia z ząbka albo ząbek się skruszy lub dźwignia złamie? Następuje wystrzał, mimo że cyngle są unieruchomione. Dlatego zabezpieczenie wyłącznie cyngłów nie daje zupełnej pewności, że strzelba nie może wypalić.

Ten sposób zabezpieczenia jest jednak w 90% szczególnie przy tańszych strzelbach z reguły stosowany. A więc haczość!

Drugi, niewątpliwie lepszy i skuteczniejszy sposób polega na zabezpieczeniu „dźwigni“. To ostatnie skutecznia się w analogiczny sposób, jak przy zabezpieczeniu cyngłów; kładzie się bowiem rodzaj zasuwki na dźwignie i uniemożliwia wyskoczenie końca względnie ramienia dźwigni ze ząbków „orzyszka“.

Zwykle jest zabezpieczenie dźwigni połączone z zabezpieczeniem cyngłów tj., że przez przesunięcie suwaka zamyka się równocześnie tak cyngle jak i dźwignie. System ten stosuje się w droższych strzelbach.

Tu może wprawdzie jeszcze wystrzał nastąpić w razie, gdy dźwignia się złamie lub ząbek „orzyszka“ się skruszy lub zużyje, ale ta ewentualność jest mało prawdopodobna.

Dopiero zabezpieczenie młotków jest absolutnie pewne, jak długo przyrząd zabezpieczający jest w porządku i funkcjonuje.

Dla zwiększenia stopnia bezpieczeństwa stosuje się z reguły tzw. „samoczynne“ zabezpieczenie, polegające jak wiadomo na tym, że ruch dźwigni, którym się broń otwiera — powoduje równocześnie cofnięcie suwaka w tył i zamknięcie cyngłów względnie dźwigni; chcąc strzelać, trzeba najpierw suwak naprzód przesunąć, co dla nerwowych i roztrągnionych strzelców jest bardzo dobrym środkiem na chwilowe uspokojenie.

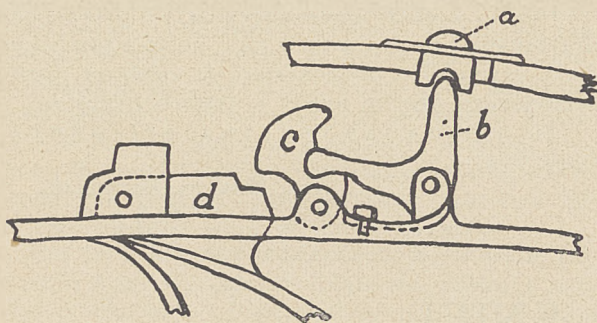


Fig. I. Broń gotowa do strzału.

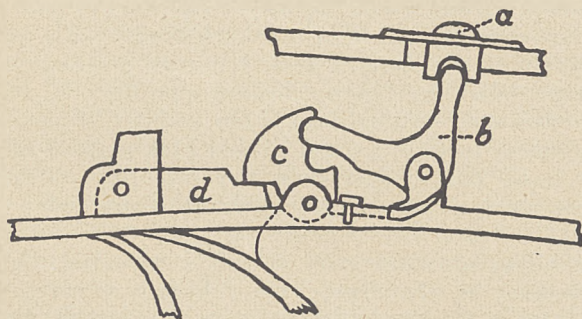


Fig. II. Broń zabezpieczona.

Problem bezpieczeństwa jest szczególnie drażliwy, jeśli chodzi o drylingi (trojaki). Rozchodzi się tu o to, by w drylingu mieć pewność, że nie nastąpi r ó w n o c z e s n y wypał prawej lufy ścutowej i dolnej kulowej! Przystawienie bowiem na strzał z dolnej lufy skutecznia się zwykle przez przesunięcie wprzód suwaka, na szyjce kolby się znajdującego. Może się tedy łatwo zdarzyć, że — szczególnie przy „szyjce“ angielskiej — z okazji strzału z górnych luf i odrzutu broni (!) prawa dłoń ześliznie się po szyjce — a właściwie szyjka w dłoni — i spowoduje mimowolne częściowe przesunięcie suwaka dolnej lufy ku przodowi. Ten ostatni może wtedy zająć pośrednie położenie, tj. otworzy spust do młotka kulowego (tj. do dolnej lufy), a nie zamknie spustu prawej lufy; wówczas wypalają na raz obie lufy, a kula wypuszczona nadprogramowo w świat może być przyczyną nieszczęśliwego wypadku.

Wprawdzie przy porządnie i starannie odrobionym drylingu nie powinny tego rodzaju „podwójne“ wypały się trafiać — ale taki porządnie odrobiony dryling jest drogi. Obecnie wypuszczono z Niemiec na eksport drylingi w cenie 600 zł (loco Polska) strzelają wprawdzie bardzo dobrze — ale w tej cenie trudno żądać broni starannie wykonanej!

W mojej praktyce myśliwskiej spotykałem się dość często z drylingami, które choć dobrej marki (np. Springer w Wiedniu, Werthgarner w Emis), dawały „podwójne wypały“.

Konstruktorowie broni usiłovali przez cały szereg mniej lub więcej udanych, choć nieraz bardzo skomplikowanych ulepszeń zapobiec możliwości „podwójnych wypałów“. Godnym wzmianki jest mechanizm, skonstruowany przez firmę Ernest Kerner & Co. w Suhl w Niemczech, który wyklucza możliwość równoczesnego nastawienia na górną i dolną lufę — a ma ten wielki awantaż, że się da nawet w drylingach starszych systemów d o d a t k o w o wstawić.

Najradkalniej jednak rozwiązała ten problem firma Sempert & Krieghoff w Suhl swoją oryginalną konstrukcją drylinga „Neptun“. W niej zamek, aktywujący dolną lufę, nie jest podczas strzelania z górnych luf w ogóle zupełnie napięty; dopiero,

gdy się ma zamiar strzelać z dolnej lufy, naciska się małą dźwignię przy lewym zamku kciukiem prawej ręki (nawet mając broń przy twarzy!) i napina przez ten chwyt mechanizm, dotyczącego zamka, blokując równocześnie młotek prawej (górnjej) lufy.

Jest to konstrukcja istotnie doskonała — wykluczająca radykalnie „podwójny wypał“ — ma tylko jedną wadę, tj., że taki „Neptun“ jest... drogi.

Oto w głównych zarysach to, co każdy myśliwy o konstrukcji bezkurkowej broni wiedzieć powinien, by wypadku z tym systemem uniknąć.

Do tematu znajomości konstrukcji broni widzianej z punktu bezpieczeństwa osobistego strzelca zaliczyć należy także znajomość cechowania broni. Ona bowiem uchroni od używania niewłaściwej amunicji i od ewentualnego zerwania broni.

Przy broni śrutowej, gdzie ciśnienie gazów bezdymnego prochu na ściany lufy względnie obsadę (około 500 atmosfer) ledwie o 100 atmosfer przewyższa ciśnienie gazów prochu dymnego — nie jest to tak bardzo niebezpieczne, o ile używa się normalnych, fabrycznych nabojów i o ile zamknięcie jest silne i lufy nie „gadają“, tzn. lekko się w obsadzie ruszają, co najłatwiej wypróbować, odejmując „czołenko“ i potrząsając bronią.

Jednak bezdymny proch ma w odróżnieniu od prochu dymnego tę właściwość, że jego ciśnienie gazów (przy normalnych warunkach dość łagodne) może z różnych przyczyn, wychodzących poza ramy tej pracy — podnieść się łatwo nawet do 700 atmosfer a nawet i wyżej — i tu zaczyna być sytuacja krytyczna; trzeba bowiem pamiętać, że lufy śrutowe są wypróbowane tylko na 850 atmosfer.

Dlatego nie powinno się z a s a d n i c z o strzelać ze śrutowek, obliczonych na proch dymny — nabojami z prochem b e z d y m n y m.

Daleko większe niebezpieczeństwo przedstawia strzelanie z broni kulowej, bo tu istnieje cała skala czynników, zwiększających ciśnienie gazów bezdymnego prochu nawet o tysiące atmosfer.

Tu jest n a d z w y c z a j n a o s t r o ż n o ś ć konieczną!

Inż. Walery Maryański,
general W. P. s. s.

Z POLA I KNIEI

O kłusownikach czworonożnych. Pan K. K. w nrze 12 „Myśliwego“ pod tytułem „Konkurenci myśliwych“ pisze o psach, które kłusują w naszych łowiskach i podaje kilka zdarzeń, które miał z tymi nieproszonymi pomocnikami łowieckimi. Jest racja, że walka z tymi bestiami jest bardzo ciężka, zwłaszcza z takimi, które były już kiedyś strzelane, ale bywają i na nie sposoby radykalne.

Zwykle polują psy w dwójkę, lecz i pojedyncze używają tej przyjemności i to nawet ze skutkiem. Już wiele lat temu spotykałem stale w lesie tropy pojedynczego psa, a ponieważ go nigdy nie widziałem, musiał on nocami uprawiać swą nieczystą

robotę. Domyślałem się nawet czy to był pies — gospodarza z sąsiedniej wioski, którego osada była zupełnie izolowana. Piesek ten razu pewnego odstąpił od swego systemu łowienia po nocach. Idąc kiedyś nad brzegiem lasu około godziny 10 zauważyłem go biegnącego nad rowem i jak później znikł w lesie. Znając doskonale zwyczaje psie wiedziałem, że tym samym przemykiem będzie on wracał do domu. Umieściwszy się z dobrym wiatrem zrobiłem prowizoryczny schron i czekałem. Wiedziałem, że cierpliwość moja będzie wystawiona na próbę, ale zaprzysiągłem sobie, że choć do nocy poczekam na tego rabusia. Siedziałem przeszło trzy

godziny, aż wreszcie wyszedł i to z zajęcem w kufie. Była to ostatnia jego przechadzka.

Kiedyś w lubelskim poprosiłem łowczego, aby pozwolił mi upolować cietrzewia na toku i to na bagnach przyległych do lasów. Chętnie się na to zgodził i oświadczył mi, że jeśli przy tej sposobności zabiją dwa olbrzymie czarne psy, które w tej okolicy wytepiły mu prawie wszystkie sarny, mogą potem i więcej kogutów zastrzelić. Był to kwiecień, a toki w pełni; nazajutrz byłem na miejscu i o godz. 2 zasiadłem w budce. Niedługo czekałem, a świst skrzydeł zdradził mi, że koguty z lasu ciągną na łąki na tokowisko. Gdzieś tam pojedynczy kogut zasyczał, do świtu było jeszcze sporo czasu, aż tu naraz słyszę odloty cietrzewi. Po pewnym czasie zobaczyłem, że i zajęce szybko pomykają, a jakaś zablakana sarna również sadzi do lasu. Nie mogłem sobie narazie zdać sprawy, co się dzieje. Wreszcie, kiedy zaczęło już świtać, lustruję lornetką teren i co spostrzegłem? Dwa czarne olbrzymie kudłate smoki, które urządziły sobie łowy i to bardzo dowcipnie, gdyż jeden zachodził a drugi podpędzał. — Miałem w ręku bardzo dobrą broń, kniejówkę (śrut — kula 20—8). Oprócz tego miałem przedmiot, z którym się nigdy myśliwy nie powinien rozłączać a mianowicie wabik, imitujący kniazienie zajęcia. Polujący pies, który choć raz w życiu schwycił zajęcia, nie wytrzyma i przyjdzie. — Psy gonily ode mnie naokoło 350—400 kroków. Kiedy usłyszały tak miłe dla ich ucha i znane tony, bardzo się zainteresowały nimi; mimo wszystko przyznać muszę, że były bardzo inteligentne. Starszy mistrz z siwą mordą przystanął, ogon zwiesił jak wilk, wietrzył i stał jak skamieniały. Młodszy jego towarzysz nieco silniejszy, nie mógł przewyciężyć wrażenia pięknych tonów dławionego zajęcia i łukiem zaczął obcinać pod wiatr. Mógł mnie więc zwęszyć, a wtedy na nic z moją sztuką. Poczekalem jeszcze, aż mistrz ruszy za towarzyszem i podciągnie wreszcie bliżej, co też w końcu uczynił. Czulem, że bliżej już nie podejda, strzeliłem do pierwszego, który hukowi napewno już nie usłyszał. Towarzysz jego odskoczył kilkanaście kroków w bok i to szczęśliwie w moim kierunku. W międzyczasie zdążyłem powtórnie nabić i drugi raz strzelić. Jako nagrodę dostałem od łowczego odstrzał większej ilości kogutów.

Było to w końcu października. W niedzielę po południu kazałem założyć konie do wózka i wyjechałem do lasu. Podjechałem pod kilkuletnią uprawę, która dotykała do gąszczu i zobaczyłem na niej dwa kundli, które głośno goniły sarny i zajęce. Chciałem odciąć im drogę od gąszczu, lecz już nie zdążyłem. Zeskoczyłem z wózka, ukryłem się w kulturze za jałowcem, wózek zaś pojechał dalej. Zawabiłem — nie trwało kilkanaście sekund, a już rabusie przypadły na parę kroków, strasznie zziębnięte. Nie trudną miałem z nimi robotę.

Dziesiątki psów tego typu w życiu zabiłem, a są pomiędzy nimi typy takie, do których się dobrać nie można. Późnym wieczorem opuszczają swe siedziby i ryczą rano są już na podwórku swego pana, ale w łowisku zrobiły swoje. I choć nawet niczego nie chwyciły, oczyściły łowisko ze

zwierzyny. Nie zapomnę tego nigdy, kiedy mi parę kundli trzy rykowiska rozpędziły i rozbiły.

Najgorszym typem z klusujących psów jest ten, który cicho goni. Jest to ta najwyższa kategoria! Ale i na nie jest lekarstwo. Należy postawić ambonę lub budkę na ziemi i założyć padlinę. Ściąganie się do niej rabusi z całej okolicy. W ciemnej nocy założyć przy padlinie silne pułapki i mocno je przymocować na łańcuchach — za rezultat moż-



Fot. J. Kuglin

Gdzie następną ofiarą?

na w zupełności gwarantować. Jeśli nasi kmiotkowie ambony i budki zniszczą oraz ukradną żelaza, to już nie ma na to innej rady jak trucizna (problematycznie! — przyp. Red.).

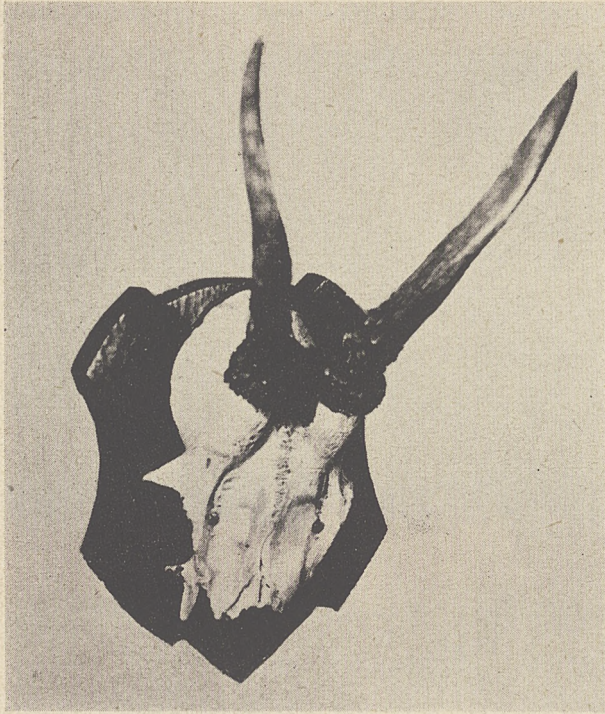
Jaką szaloną szkodę wyrządzają nam psy w łowisku o tym może piosenki śpiewać przede wszystkim leśnik-hodowca. Pies polujący, znarowiony — chwyta nie tylko króliki, zajęce, sarny, wybiera gniazda bażancie, kuropatwy, ale kiedy przegoni nam raz i drugi jelenie z ostoi, to wówczas nie wrócą one już tak szybko do tych ostoi. Ci czworonożni klusownicy moim zdaniem są niebezpieczniejszymi od naszych drapieżników z otwartych łowisk.

T. Metzig

Łowisko szydlarzy. Dwa ciekawe łowiska udało mi się zwiedzić. Jedno pod Wrześnią, w którym właściciel od lat nie polował na kozły i nikomu strzelać nie pozwolił, po prostu czuł słabość do tej zwierzyny. Byłem tam w czasie rui. Kozłów i sarn było dużo. Zaraz za podwórzem stał pierwszy rogacz selekcyjny. Mimo wszystko w łowisku tym — zresztą wymarzoną, z remizami, łączkami, stawa-

mi — widziałem jednego kozła kapitalnego, reszta degeneraty.

Właściciel drugiego łowiska pod Pleszewem, bardzo miły i gościnnie, niestety sam nie poluje. Za to lubi brać myśliwską. A że kozłów tam dużo, zaprasza tego i owego znajomego, żeby sobie odstrzelili koziołka.



„Szydlarz“

Fot. J. W.

Nie byłoby to jeszcze niebezpieczne, bo taki gość, przyjechawszy na dwa lub trzy dni, nie znając terenu, musiałby się zadowolić kozłem, który by mu wszedł pod łufę. Niestety, właściciel ma polowego, broniącego dobra jaśnie pana przed złodziejami, który chodzi cały dzień po lesie i polach.

Otóż wspomnianemu polowemu wbił ktoś do głowy, że każdy szóstak jest łowny, oczywiście im dłuższe ma odnogi, tym lepiej. Zna on każdego kozła w łowisku do tego stopnia, że gdy przyjechałem, powiedział mi: „dobrze że pan przyjechał, bo przed tygodniem pan X zabił szóstaka, ale od dwóch dni znów się jeden pokazał, o reszcie nie warto mówić“.

Ten to polowy prowadzi każdego gościa, który przyjdzie na polowanie, prosto do kozła mniej lub więcej dobrego, hyle szóstaka na oko.

Pojechałem więc pełen nadziei, bo dużo o tym łowisku słyszałem. Polowy zajechał bryczką punktualnie o trzy na siódmą. Wsiadłem, a polowy chciał mnie od razu wieźć do upatrzonego kozła, który jak się później okazało, był selekcyjnym szóstakiem. Ja jednak wolałem wpierv zwiedzić łowisko.

Widziałem tego wieczoru dwa kozły — „kapitalne“ szydlarze — które ubilem. Sześć kozłów, to wynik mego pięciodniowego pobytu w tym łowisku. Dwa „kapitalne“ szydlarze, jeden jednoróg, dwa szydlarze z małymi guziczkami w miejscu odnóg i jeden selekcyjny szóstak. Nie widziałem żadnego

szóstaka możliwego, nie mówiąc o kapitalnym. Łowisko to było przeciwieństwem planowej hodowli. Stan saren był duży, jak to widać z wyniku mojego pięciodniowego polowania. Przez odstrzał każdego możliwego kozła — gorszych w ogóle się nie strzelało — doszło łowisko do tak smutnego stanu. Z tego wynika, że cechy szydlarzy przechodzą na następne pokolenia.

Chcąc dać dokładny obraz łowiska, podaję rodzaj gleby i lasu. Gleba żyzna przeważnie gliniasta, urodzaje wspaniałe, las liściasty z gęstym podszytem. W przeciwieństwie do tego łowiska znam inne pod Strzałkowem. Latające piachy, urodzaje marne, las iglasty, kozłów za to dużo i dobrych. Z pobytu mego w łowisku szydlarzy byłem bardzo zadowolony, bo podobnego łowiska nigdy jeszcze nie widziałem, a moimi strzałami przyczyniłem się może do jego poprawy. Gospodarz mniej był zadowolony. Dziwił się, że strzelam takie paskudztwo. Jedyne szóstak selekcyjny zrobił trochę wrażenia, bo lepsze rzadko tu padały.

J. W.

Ofiara wnykarstwa. W listopadzie 1937 r. ubił leśniczy państwowy p. Musiał na terenie lasów margonińskich (pow. chodzieski) daniela-łopatacza, którego obserwowano już od kilku tygodni. Daniel ten od czasu do czasu wykonywał niesamowite ruchy głową, a przyczynę tego wyjaśniły silne szkła myśliwskie, a wprawnie pokierowana kula uwolniła zwierzę od długotrwałej męki.

Daniel ten, jak wykazuje fotografia, miał wokół lewej łopaty pętlę z trzymilimetrowego drutu.



Fot. J. Stawski

Po zdjęciu skóry z głowy daniela okazało się, że drut przepiłował kości czaszki na długości : 102 mm i szerokości do : 14 mm. Głębokość przepiłowanego miejsca w mózgu wynosiła aż : 18 mm i od strony zewnętrznej poczęła szczyrbina mózgowia już świeżą tkanką kostną zarastać. W środku między mózgdzeniami kość (parietale) została całkowicie przetartą aż do mózgu. Skóra ponad raną zaciągnęła się i zarosła całkowicie. Lewa łopata wykazywała lepszy rozwój, była grubsza i o : 7 cm wyższą, co, jak u daniela, niekoniecznie spowodowane zostało mechanicznym uszkodzeniem mózgowia.

Łopatacz liczył około czterech lat.

Inż. Szulczyński Antoni

Hodowla kuropatw a przemysł amunicyjny. W nrze z 7 V br. londyńskiego „Sunday Express“ jest pomieszczona ładna fotografia czterech młodych kuropatw z napisem: „Te kurczęta pomagają sprzedaż chemicznych ugrupowań“. Pod spodem zaś znajduje się takie wyjaśnienie: „Te sześciotygodniowe młode kuropatwy są częścią 98 000 000 funt. szterl. aktywów Imperialnych Przemysłów chemicznych. Hodują je w doświadczalnej farmie dla zwierzyny łownej w Knebworth, należącej do Towarzystwa. Postępują doświadczenia w hodowli zwierzyny łownej w celu, jak stwierdza roczne sprawozdanie Towarzystwa, popierania sprzedaży amunicji śrutowej“.

Nie mogę powiedzieć, aby mi hodowla zwierzyny w takim celu przemawiała do mego myśliwskiego sumienia, ale pocieszam się, że w końcu ona nie będzie się kalkulować, no i upadnie. Lepiej niech Towarzystwo dla podniesienia swoich aktywów i sprzedaży hoduje gołębie, ale „gliniane“. S. M.

O szkodliwości myszołowów. O ile myszołów użyteczny jest dla rolnictwa i leśnictwa — o tyle jest szkodliwy dla łowiectwa (? przyp. składacza). Twierdzenie jakoby myszołów uderzał tylko na chorą zwierzynę łowną nie zawsze jest zgodne z faktami. Moje 14-letnie obserwacje dały mi inny obraz. Myszołów nie ochrania żadnego zajęcia do wielkości szczura i to nie zważa na to, czy zdrowy czy chory. Bierze wszystkie, które mu jego dobry wzrok wskaże. Pojedyncze egzemplarze wyspecjalizowane są większymi rabusiami w łowisku aniżeli gołębiarz. W r. 1930 gnieździły się myszołowy 300 metrów od majątku w lesie. Para ta tak się wyspecjalizowała, że nie tylko była kuropatwy, bażanty, króliki i zajace ale nawet zabrała dużą ilość kurcząt, kaczek i kur. Gdy przekonałem o tym właściciela majątku, zwolennika pożyteczności myszołowa, polecił stare i młode zastrzelić. Jeszcze szkodliwszy dla łowiska jest myszołów włochaty, który u nas przebywa tylko zimą. Żywi on się u nas przeważnie zwierzyną łowną. Najwięcej cierpi odeń stan kuropatw.

Afred Jutrowski

egz. leśn.

P. P. MYŚLIWI!

Nadsyłajcie fotografie o tematach łowieckich do reprodukcji w „Myśliwym“. Uprasza się o czarne odhitki na papierze z polyskiem.

Dehnel August, dr: O sztuce układania ptaków w drapieżnych do łowów. Odhitka poprawiona i uzupełniona z „Łowca Polskiego“ od nr 21 do nr 26 z r. 1938. 200 egzemplarzy. Warszawa 1939.

O ile mogę sądzić na podstawie literatury, to rzecz ta jest napisana ze znanstwem i rzeczywistym przejęciem się tematem. Autor cytuje cztery dzieła z których korzystał, nie wiem dlaczego nie ma między nimi Renza Wallera: *Der wilde Falk ist mein Gesell.* Waller przecież jest tym który wskrzesił dzisiaj sokolnictwo na terenie Niemiec i bardzo wybitnie w tym kierunku pracuje jako wielki mistrz zakonu sokolniczego (*Grossmeister des deutschen Falknerordens*).

We wstępie pisze Autor, że nie wierzy by w Polsce nie znalazło się wielu ludzi interesujących się sportem sokolniczym. Przecież nie dla wszystkich naszych myśliwych namiętność łowiecka musi się sprowadzać do tego najłatwiejszego, najbardziej demokratycznego sposobu zaspokajania żylki myśliwskiej jaką jest szprycowanie śrutem na lewo i prawo. Główną zaś przeszkodę widzi Autor nie w braku zainteresowania w tym kierunku, ale w niemożności zdobycia odpowiedniej literatury, z której myśliwi mogliby zaczerpnąć trochę podstawowych wiadomości o terenie ptaków i metodach polowania.

Zdanie to dyktuje Autorowi, jak mi się zdaje, wielkie zamilowanie do sokolnictwa, ale jako stary myśliwy muszę powiedzieć, że się myli i bardzo sprawę sobie upraszcza. Sokolnictwo owiane romantyzmem wspomnień dawnych lat, wspaniałych polowań magnackich, uwiecznionych w obrazach i poezji, straciło w naszych oczach wartość realną łowiecką i bardzo wątpię aby ją kiedykolwiek odzyskało, ale z zupełnie innych powodów, aniżeli Autor przypuszcza.

Sokolnictwo kwitło wówczas, gdy czas poświęcony, czy układaniu ptaków czy polowaniu, nie grał roli, gdy do układania ptaków dysponowano z łatwością zawodowcami, najczęściej spośród własnych poddanych, gdy koń potrzebny do tych polowań nie był żadnym luksusem, z drugiej strony nie było broni odpowiedniej do polowań na ptactwo a samo chwytanie ptactwa w sieci nie uchodziło za rzecz godną szlachcica. Przy tym trzeba i to brać pod uwagę, że prawdę mówiąc polowanie na drobną zwierzynę czy to ptasią czy zajacę lub króliki za pomocą sokolów, krogulców, jastrzębi ma w sobie duże okrucieństwa i to tak przy układaniu ptaków jak i w samym polowaniu. Kto raz widział drapieżnika hijącego np. królika, ten sądzę, nie zapomni prędko tego widoku.

Dzisiaj czasy gruntownie się zmieniły, to co dawniej było łatwe i naturalne, to dzisiaj stało się niedostępne, czas jest drogi, wątpię czy dużo znalazło by się myśliwych, którzy mieliby czas na układanie ptaków, a na to potrzeba dużo, dużo czasu i cierpliwości. Brak latyfundiów, któreby dawały możność urządzania polowań, tym więcej, że polowanie np. z sokołami na kuropatwy to najlepszy sposób aby zniszczyć najlepszy stan ich w łowisku. W końcu pozwolę sobie zwrócić uwagę na to, że demokratyczne strzelanie kulą, czy w końcu dojeżdżanie zwierzyny za sforą, jeśli chodzi o ubicie zwierzyny, jest bardzo, że się tak wyrażę, humanitarne w stosunku do polowania z ptakami drapieżnymi. Zresztą i to trzeba zauważyć, że same metody układania ptaków, jak nas o tym Autor w swej pracy poucza, wykazują dużo tego, czego nie mogę nazwać humanitarnością.

Trochę zanadto może się rozpisalem, ale te myśli nasunęły mi się zanim jeszcze czytałem tę pracę, wystarczyły mi artykuły wyżej cytowanego Renza Wallera w niemieckiej prasie łowieckiej, a utwierdziły się właśnie przy czytaniu omawianej rzeczy. Są wspomnienia, które trzeba zostawić wspomnieniami, bo powołane do życia mogą być dla nas niemiłą rzeczywistością.

S. M.

NOWE WYDAWNICTWA ŁOWIECKIE ZA GRANICĄ

Chevasnerie de la, Antoni: Gibiers et chasses d'Europe. Str. 271, 11 rysunków w tekście i 21 fotografii. Wydała firma Payot w Paryżu (Bibliothèque Géographique).

Znana paryska firma wydawnicza Payot, która w swojej Bibliotece geograficznej niejedną już myśliwską rzecz wydała, obecnie puszczając w świat Zwierzyna i polowania europejskie napisane przez A. de la Chevasnerie, członka korespondenta Międzynar. Rady Łowieckiej i delegata Klubu św. Huberta we Francji, przysłużyła się znowu kołom łowieckim.

Książka ta dzieli się na cztery części. Pierwsza traktuje o awifaunie, druga poświęcona jest faunie, trzecia opowiada o polowaniach we Francji i gdzieindziej a czwarta zaś zajmuje się wszystkim tym co ma związek z łowiectwem jak np. psami, bronią, książkami łowieckimi itd.

Rzecz cała napisana przez myśliwego z krwi i kości, który przeszedł surową szkołę myśliwską w domu swego ojca, wykazuje nie tylko olbrzymie wprost zamilowanie łowiectwa, ale także bardzo wielką znajomość zwierząt i łowiectwa. Interesujące jest bardzo poznać raz także i zachód pod względem łowieckim, dla nas znających oprócz rodzimego łowiectwa jeszcze tylko co najwyżej niemieckie, i przekonać się, że i u myśliwego francuskiego, przez nas zawsze traktowanego przez ramię, bije prawdziwie myśliwskie serce. Nie zaszkodzi nam dowiedzieć się, że i Francuz poluje na co innego niż na króliki i skowronki a jest czasem nie gorszym jeśli nie lepszym myśliwym od jednego z nas. Rysunki w tekście pochodzą z ręki znanego malarza zwierząt Rogera Reboussin a fotografii dostarczyli pierwszorzędni fotografowie-przyrodnicy.

S. M.

Nowością jest książka *dra Anuschata* pt. Strażnik łowiecki na tropie kłusownika (Dr Anuschat — Der Jagdschutzbeamte auf der Wilddiebsfährte), wyd. Neumann-Neudamm. Autor — doktor praw, z zawodu radca kryminalny, opisuje na 163 stronicach kłusowników, kłusownictwo, obronę przed kłusownikami i kryminalistykę łowiecką, dając w opisie bardzo ciekawy, rzeczowy i treściwy obraz kłusownictwa i metod walki z nim.

Ciekawa jest również książka *Rudolfa Hensona* pt. Kultura roli w przyszłości (Rudolf Henson — Bodenkultur der Zukunft) Neumann-Neudamm. Książka ta nie tyle dla myśliwych, ile dla leśników przeznaczona, rozwiązuje w ciekawy sposób zagadnienie kultury roli w przyszłości.

Dr O.

Poszukuję polowego — łowczego dla łowiska około 1300 ha, znajdującego się na układaniu posokowców hanowerskich.

Sprzedam około 150 ctr. bulwy oraz daniele (łopatacze i łanie) ze zwierzynca.

R. Kentzer — Pruskołaka, p. Rychnowo Wielkie

SÓL dla ZWIERZYN

HURTOWNIE SOLI mają już na składzie
zapowiadane oddawna

BRYKIETY SOLNE na LIZANKI dla ZWIERZYN

BRYKIETY SOLNE sprzedawane są
bez żadnych ograniczeń w dowolnej ilości
po cenie:

1 kg brykietu soli dla zwierzyny . . . 0,08 zł
1 brykiet soli wagi 5 kg dla zwierzyny 0,40 zł
10 brykietów (50 kg) soli dla zwierzyny . 3,44 zł

Brykiet pięciokilogramowy ma kształt cegły, przedzielonej pośrodku i może być z łatwością dzielony na dwa. Najekonomiczniej jest kupować sól całymi brykietami (5 kg — 40 gr), pojedynczo lub po cenach hurtowych minimum 50 kg (10 sztuk). Brykiety solne zostały wypróbowane przez dłuższy czas na stacjach doświadczalnych. Są odporne na działanie wilgoci i powietrza, nie rozsypują się, nie rozpuszczają, a są łatwe do lizania.

Z wprowadzeniem brykietów odpada nam poważna troska zaopatrywania zwierzyny w sól. Możemy dostać w każdej hurtowni soli. Jeżeli nie ma ich jeszcze na składzie, na żądanie zostaną sprowadzone.

Na okładce — Rogacz kapitałny — fot. inż. T. Sroczyński

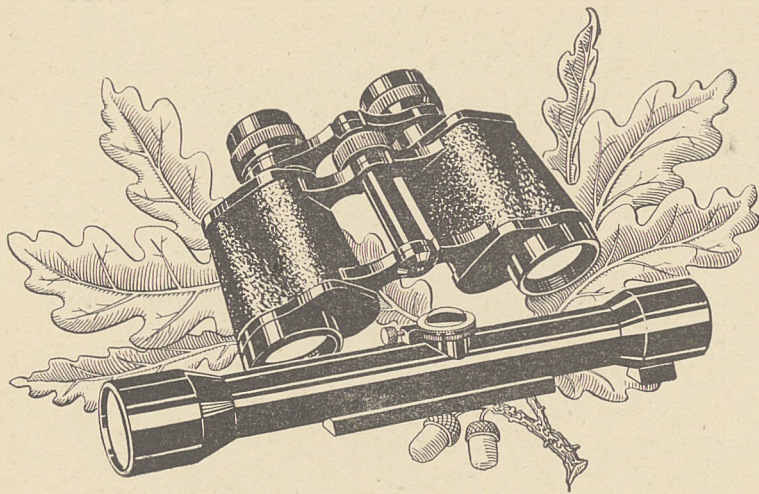
Drukarnia i Wydawca: Rolnicza Drukarnia i Księgarnia Nakładowa, Spółka z ogr. odp. w Poznaniu, ul. Sew. Mielżyńskiego 24, telefon 23-65.

Redaktor naczelny: Dr inż. Leon Ossowski.

Adres redakcji i administracji: Poznań, ul. Sew. Mielżyńskiego 24, telefon 23-65.

Prenumerata: za kwartał zł 3, za pół roku zł 6, za rok zł 12.
Pocztowe konto rozrachunkowe nr 28, PKO 212 175.

Redakcja nie zwraca rękopisów przyjętych do druku i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów oraz decyzyj co do czasu ich umieszczenia.



Niezawodne
Myśliwskie lornetki polowe

ZEISS'A

Wagi piórkowej

Posiadają niedoścignione zalety optyczne i jako takie znane są we wszystkich krajach. Lornetki te nawet w najtrudniejszych warunkach polowania nie psują się i mogą być w użyciu przez cały

szereg lat. Nowe modele wagi »piórkowej« ważą obecnie od 350 do 890 gramów.

LUNETY CELOWNICZE

„Zielvier” i „Zielsechs” są obecnie wykonywane również z lekkiego metalu.

Lunety te niezwykle lekkie a jednocześnie zbudowane masywnie, odporne są na wszelkie wpływy atmosferyczne i zapewniają najlepsze wyniki optyczne nawet przy najczęstszym strzelaniu. Do nabycia za pośrednictwem składów broni i fachowych rusznikarzy.

Ilustrowane prospekty wysyła bezpłatnie firma CARL ZEISS - JENA

lub Generalne Przedstawicielstwo na Polskę Biuro Techniczno-Handlowe

Inż. Władysław LEŚNIEWSKI - WARSZAWA, Al. Niepodległości 210,
tel. 8-16-06, 8-16-46



S. KAŁAMAJSKI POZNAŃ - TORUŃ

Pończochy sportowe
Skarpetki-Rękawiczki
trykotowe i skórkowe
Wielki sortyment
wszelkich trykotaży
Szelki - Getry - Pullo-
wery - Kamizelki

Torby myśliwskie

pasy do naboji, futerały na fuzje, na lornety, plecaki, ostrylpy, obroże, batogi, smycze dla psów, poleca z własnej pracowni

St. Bochyński dawn. Borzych i Ska
POZNAŃ, Podgórna 3

Sprzedam sztucer Magnum 8×60 lunetą Zeissa 6×, dobrze utrzymany aut. Remington cal. 20 na longi. Obejrzeć można w firmie „Warsztat Puzkarski J. Szymkowiak” Poznań, Św. Marcin 27 — Telefon 25-63

Na sezon rogaczy

polecam
wszelkie gatunki
nabojów metalow.
Ostrzelanie
fuzyj itd.
Okazyjne kupna
dylingów,
dubeltówek itp.
Spratt'a karma dla
bażantów i suchar-
ki dla psów

E. MINKE
Poznań. ul. Kantaka 7
Telefon 29-22

Wytworną
Konfekcję Damską i Męską
Galanterię Damską i Męską
Specjalnie sportową

poleca

The Gentleman

ul. Nowa 1. **POZNAŃ** ul. 27. Grudnia 4.
TELEFON 31-69.

Hodowla wyźłów „Z nad Warty”

przyjmuje wyźły wszel-
kich ras
Tresura normalna 3 mies.
Tresura z utrwalen 6 mies.
Tresura konkursowa 6 mies.
Zgłoszenia w łowisku
Jasionna p. Wronki.

Szkockie teriery

najszlachetniejszej krwi
10 tygodniowe, 80 do
100 złotych, ewentual-
nie z rodowodami

Dr Zenkteler - Śmigiel

MISTRZOSTWA POLSKI, MAZOWSZA I WARSZAWY

W ZAWODACH NARODOWYCH
8 DO 10 LIPCA 1938 ROKU

ZDOBYTO

PROCHEM ›SOKÓŁ‹



PAŃSTWOWEJ WYTWÓRNI PROCHU W PIONKACH



Panowie Myśliwi!

Nasza chrześcijańska garbarnia
zakupuje stale **wszelkie
skóry zwierząt futerkowych**,
jak lisy, tchórze, kuny, wydry,
koty, rysie itp. oraz sezonowe
letnie skóry jeleni i sarn.

Przyjmujemy do garbowania
wszelkie skóry dla pp. Myśli-
wych po cenach ulgowych.

Popierajcie czysto polski przemysł garbarski!
Informacji odwrotnie udziela:

„SKÓRA i FUTRO”, Spółdz. z odpow. udziałami
Poznań, ul. Szwajcarska 37, telefon 87-30

KSIĄŻĘCE PIWA TYCHY



Od 300 lat - idą w świat!!



WIŃA REŃSKIE I MOZELSKIE

wyborowej jakości, polecamy drużynie Świętego Huberta

GOZIMIRSKI I SKA

POZNAŃ, ul. Br. Pierackiego 9 I ptr. - Nr tel. 11-49 i 21-49

Poza tym sprzedaż domowa po cenach oryginalnych w restauracjach:

H. Nurkowski, Poznań, ul. Sew. Mielżyńskiego 23, tel. 21-09
„Hungaria”, Poznań, Plac Wolności 14, tel. 23-22

Oferujemy makuch sezamowy dla jeleni i rogaczy